

Szaniowski Kl. Ojciec
Prokop.

<http://rcin.org.pl>

OJCIEC PROKOP.

<http://rcin.org.pl>




Ojciec Prokop, kapucyn.

OJCIEC PROKOP.

KARTKA ZE WSPOMNIENIŃ

przez

Klemensa Junoszę.



Z portretem.

**INSTYTUT
BADAŃ LITERACKICH PAN
BIBLIOTEKA**
00-330 Warszawa, ul. Nowy Świat 79
Tel. 26-68-63
WARSZAWA.

Nakład i druk Emila Sklwskiego.

1895.

<http://rcin.org.pl>



Дозволено Цензурою.
Варшава, 6 Апрель 1895 года.

14.417

.

Na tle wspomnień dzieciństwa mego i lat chłopięcych, na tle szarem, sieroco-żałobnem, rysuje się czerwony fronton ubogiego kościoła. W tej świątyni skromnej, dziwnie do myśli lepszych, do skupienia ducha usposabiającej, nie było złocen, ani organów; ściany bielone, z drzewa ciosane ołtarze, a na ich stopniach kwitnące rośliny, wypielegnowane przez dobrych zakonników.

Wielkie ubóstwo, wielka czystość i wielka prostota, cechowały ten przybytek Boży. Gdy się przestąpiło próg jego wczesnym rankiem, zanim się jeszcze ludzie na modlitwę zeszli, wówczas ta cisza, prostota

i czystość, nie jako pojęcia, ale jako trzy wymarzone duchowe postacie, trzy siostry dobre, przychodziły, zda się, by smutnego pocieszyć, słabego duchem pokrzepić, od szarego pyłu ziemi na chwilę chociaż oderwać i umieścić daleko w świat lepszy...

Po wiązce słonecznych promieni, które przez okno wpadały, po wiązce promieni, zarysowanych w powietrzu, tworzących ni-by olbrzymi snop pszeniczny, myśl, jak po złotej ścieżynie, szła wyżej, coraz wyżej, do krzyża, zdobiącego wierzch ołtarza, do lazuru niebios, widzianego przez okno.

Jak się to wszystko wyrzeźbiło w pamięci, jak trwale! Zda się, że rękami dotykać można tego bareliefu, o twardym, jakby średniowiecznym rysunku.

Wyrzeźbił się w pamięci ten kościół, a raczej te kościoły kapucyńskie (bo one wszystkie jednakie) i furta z krzyżem na łańcuchu i przedsionek, w którym się ubodzy gromadzili i korytarze i refektarz i małe celki bez pieców, ogródki, ogrody pełne zieleni i kwiatów i obrazy na ścianach i ży-

we postaci zakonników z brodami, w habitach przepasanych białym sznurem. Kochałem tych Ojców, gdyż byli łagodni, jak gołębie, w obejściu serdeczni, mający zawsze przychylne słowo na ustach i uśmiech dobrotliwy, bo chętnie rozmawiali z dzieciakiem, obdarzali nieraz obrazkiem, kwiatem, lub smacznym owocem; kochałem ich — i zarazem na ich widok doznawałem pewnej trwogi.

Utroiłem sobie w małej głowinie, że oni są niby na świecie, a jednak nie na świecie; że między życiem a śmiercią, między zielonymi polami, a świeżo wykopany grobem na cmentarzu, między tym a tamtym światem, między ziemią a niebem — koniecznie stać musi kapucyn. Zdawało mi się, że ci Ojcowie w grubych habitach, w sandałach, są stróżami jakichś wielkich tajemnic, że znają doskonale świat pozagrobowy i wiedzą, co się w nim dzieje, i to właśnie nadawało im w moich oczach pewien nadzwyczajny urok.

Do klasztoru biegałem chętnie, ale zawsze z obawą; przez kurytarze, nawet w dzień jasny, przechodziłem ze drżeniem; trwogą przejmowały mnie portrety, rozwieszane na ścianach. Z ram poczerniałych wychylały się postacie blade, ascetyczne, poważne, jakby nie z tego świata.

Na piętrze, gdzie mieściły się cele, był napis: „SILENTIUM...” pierwszy dla mnie wyraz łaciński, którego znaczenie mi wytłómaczono. Nakazywał on milczenie; brałem rozkaz tak literalnie, że m oddech wstrzymywałem, szedłem na palcach, żeby nie robić szelestu, żeby nie ściągnąć na się guiewu jakiego mnicha z portretu.

Gdy myślałem o śmierci, wnet przychodził mi na pamięć czerwony klasztor; gdym zakonnika zobaczył, zdawało mi się, że on z innego świata powraca. Dziś to sobie łatwo tłómaczę. Śmierć nawiedzała często dom nasz, a we wspomnieniach mego dzieciństwa jest kilka trumien czarnych. Ile razy kto z blizkich umierał, tyle razy kapucyn przychodził...

Dzwonek oznajmiał jego przybycie, zapalano światło... a w kilka dni później schodzili się ludzie, dzwony jęczały, kapucyni prowadzili na cmentarz.

W r. 1855, w Lublinie, straciłem matkę, młodziutką kobietę. Pięć lat życia wówczas liczyłem. Matka umarła na cholere; zasłała w nocy, zgasła w południe, w cztery godziny później już ją pochowano. Gdy się na cmentarzu smutny obrządek zakończył, gdy szalejącym z rozpaczycy ojcem moim się zajęto, zbliżył się do mnie poczciwy zakonnik, wziął mnie na ręce, uspakajał i serdecznie, łagodnie tłómaczył, że matce będzie dobrze tam... daleko, a mnie tu na ziemi Bóg nie opuści...

We dwa lata później umarł mój ojciec, potem dziadek i znowuż przy ich śmierci był zakonnik, znowuż ich trumny kapucyni odprowadzali na cmentarz, nie dziw więc, że sobie wyobrażał ich, jako wysłańców, przychodzących po dusze, a zarazem jako pocieszycieli w smutku i nieszczęściach, nie dziw, że ich kochał i bał się jedno-

czesnie. Pociągala mnie ich lagodnosć i dobroć, zaciekawiala tajemniczosc, powaga, ubogie cele, modlitwy w chorze, wielkie ksiegi, ktore czytali, nawet ogród... Tam byly przesliczne kwiaty i wyobrazalem sobie, ze tylko ci zakonnicy potrafią je hodowac nadzwyczajnym, im tylko znanym sposobem.

Niejednokrotnie zastanawialem sie nad pytaniem, czym są wlasciwie kapucyni? Są ksieźmi, odprawiają Msze, mówią kazania. Nie, to malo, oni są czems wiecej. Są zakonnikami, zrzekli sie wszystkiego, co mieli na swiecie, nawet imienia i nazwiska, zlozyli sluby ubostwa, posluszenstwa, pokory. Nie — i to malo, oni jeszcze czems są wiecej oprócz tego...

Zapytalem dziadka. Opowiedzial mi calą historie tego zgromadzenia od poczatku i dodal, ze są to bracia mniejsi swiętego Franciszka...

— Bozel — pomyslałem — jakiz wielki byc musi sw. Franciszek, skoro ma tak ogromnych mniejszych braci!

I istotnie ogromnymi wydawali się ci ludzie w oczach malca i fizycznie i duchem i jakimś charakterem tajemniczym.

Wiedziałem, że w nocy, na odgłos dzwo-
nu, wstają, że idą do chóru przez kuryta-
rze, obwieszone portretami, że się tam mo-
dlą; wiedziałem, że codziennie wieczorem
zgromadzają się w refektarzu na medyta-
cye i pół godziny przepędzają na klęczkach
w milczeniu. O czem-że myślą, co posta-
wiają, jaki przedmiot ich zajmuje? Cóż-
by innego, jak śmierć, przyszłe życie, świat
nieznany, pełen grozy i rozkoszy...

Ja się ich bałem.

Razu pewnego byłem z dziadkiem w kla-
sztorze Lubartowskim, u ojca Benjamina
(późniejszego biskupa). Postać ta żywo
stoi mi w pamięci; głowa była kształtna,
rysy wyraziste, oczy żywe, broda wspania-
ła, spadająca na piersi.

Ksiądz Beniamin zadał mi kilka pytań
z katechizmu, a później żartować zaczął.
Włożył na mnie pelerynę, jaką ci zakonni-
cy noszą i rzekł:

— Już teraz napewno kapucynem zostaniesz.

Wybuchnąłem spazmatycznym płaczem, aż się dziadek rozgniewał, że m taki mązgaj.

— Dlaczego nie chcesz być zakonnikiem?— spytał ojciec Beniamin.

— Boję się!— odrzekłem.

I bałem się rzeczywiście; bałem się habitu, celi, korytarzy, portretów, ogromnej księgi w chórze, podziemi kościelnych, bałem się... chociaż mnie coś zawsze do tych dobrych, zacnych Ojców ciągnęło.

Z biegiem czasu dziecienna trwoga niknęła i zniknęła zupełnie, a pozostała sympatia, życzliwość i wielki szacunek dla tego zgromadzenia ubogich, cichych i pokornych pracowników na niwie Chrystusowej.

Odtwarzam sobie w pamięci rysy wszystkich „braci mniejszych,” jakich od lat czterdziestu blisko mogłem zapamiętać; przesuwają się oni na tle wspomnień, jak w procesyi. Wielu z nich już przeszło do

lepszego życia, pozostała nieliczna garstka, którą świeżo osierocił ś. p. Ojciec Prokop.

Była to postać prześliczna, wielki umysł i szlachetne serce. Nie wątpię, że godniejsze pióro skreśli obraz tego świątobliwego, jeśli nie świętego zakonnika, aby przekazać potomnym jego zasługi; sądzę atoli, że czytelnicy przyjmą sympatycznie i ten drobny szkic, jaki zamierzam nakreślić; przyjmą sympatycznie, choćby ze względu na tego, kogo ma przedstawiać, oraz na tło, które dla ludzi starszych będzie miłym przypomnieniem, a dla młodszych już pewnego rodzaju... nowością.

II.

Widzę tę postać przepiękną w różnem oświetleniu, pod rozmaitymi kątami obserwacji; widzę ją, to z blizka, to znów w odległej perspektywie, a zawsze rysującą się jasno, w każdej linii dziwnie harmonijną, a w nadzwyczajnej prostocie swej wielką.

Widzę ją we wspomnieniach dzieciństwa, w opowiadaniu ś. p. Piotra Jaksy Bykowskiego, czuję żywo wrażenie, jakie wyniosłem przed sześcioma laty z celi czcigodnego starca w klasztorze Zakroczymskim.

Nie będę snuł tych wspomnień chronologicznym porządkiem, [tak jak one się w umyśle moim i pamięci zbierały, ale rozrzuć je w ten sposób, żeby do pewnego

stopnia rzucały światło na stopniowe kształtowanie się tej wielkiej duszy.

Zanim mówić zacznę o młodzieńcu, co do furty kartuzów we Włoszech kołatał i tam do końca życia zagrzebać się pragnął, zanim wspomnę o braciszku zakonnym, który pieszo z Lubartowa do Warszawy szedł, aby święcenia otrzywać, o gwardyane lubelskim, kaznodziei, myślicielu — powiem wpierw o Janie Leszczyńskim.

Pomimo dość znacznej różnicy wieku, ze ś. p. Piotrem Jaksą Bykowskim łączyły mnie bliższe stosunki. Był on dla mnie bardzo życzliwy, a i ja lgnąłem do niego.

Pociągała ku sobie jego postać niezwykła, oryginalna, sposób opowiadania i niezrównany humor, czysto rodzimy, swojski.

Była w tym humorze rubaszność, ale i jędrność i trafność sądu; był dowcip samorodny, nie robiony, lecz taki, co przychodzi niewiadomo skąd, zjawia się jakby za dotknięciem czarodziejskiej różdżki.

Nieraz całemi godzinami słuchałem opowiadań pana Piotra o jego czasach stu-

denckich w Kijowie, o „bałagulach,” o ówczesnem życiu, typach i postaciach.

Gawęda toczyła się swobodnie i łatwo, niby woda w strumieniu, a dowcipem iskrzyła się, jak fala rzeki, gdy słońce w niej się przegląda; słuchałem i pomimo woli oddawałem się złudzeniu. Zdawało mi się, że czas się cofnął, że nie mam przed sobą autora „Pamiętników włóczęgi,” ale jakiegoś szlachcica z historycznej powieści, w którym jest i lekkomyślność dziwna i niewzruszone zasady i swawolna swoboda myśli i mistycyzm i śmiech pusty i łaższczerza i wielkie ukochanie i koncept.

Nie mówię ja bynajmniej, że Bykowski był takim, ale przypominał podobne postaci swoją powierzchownością, sposobem mówienia, głosem basowym i dowcipem, którego by się Imćpan Mikołaj z Nagłowic nie powstydział swego czasu.

W opowiadaniach Jaksy Jan Leszczyński był to młodzieniec przystojny, elegancki, wytworny; świat otwierał się przed nim na oścież, nęcąc wszelkimi powabami swymi,

a życie wyposażyło go hojnie, dawszy mu urodę, zdrowie, majątek, pozycję towarzyską, wybitne zdolności do nauk, zapal, siłę, dar zjednywania sobie ludzi, słowem, wszystkie warunki do ziemskiego szczęścia.

— Znałem go dobrze—mówił Jaksza—przyjaźniliśmy się, należeli do jednego grona; bawił się z nami. Wesoly był, bo myśmy się wówczas weselili wszyscy, licha wie dlaczego. Któżby się mógł spodziewać wówczas, co w tym człowieku siedzi? Czy ja myślałem, że kiedyś głowę przed nim schylać i rękę jego całować będę? Bo widzisz—dodał w tonie poufnej informacji—taką rękę całować trzeba, bo ona jest jak święta. Nie habił czyni mnicha, ale serce, a w nim jest serce, jak katedra; tysiące ogarnia. Taka dusza wielka, że... ja się jej aż boję. Trzeba ci wiedzieć — dodał, zniżając głos i przybierając minę tajemniczą — trzeba ci wiedzieć, że dusza duszy nierówna, każda ma swoje wymiary. Są takie małe, że gdyby którą z nich umieścić, za przeproszeniem, w prosięciu, to

jeszcze byłoby jej tam za obszernie, a czasem zdarzy się taka, że jej w człowieku za ciasno, więc wydobywa się na zewnątrz, ogarnia szerokie koła bliźnich i sama się między nich rozdziela, jak światłość i ciepło niewyczerpane. Daje ona wszystkim po promyku, a sama zostaje taką, jak była, niewyczerpaną, niby słońce. Przyznam się szczerze, że ja w nim od razu tej nadzwyczajnej wielkości nie dostrzegł, chociaż na ludziach niby się znam niezgorzej. A no, pokazało się w tym wypadku, że znam się istotnie, jak kot na musztardzie. Figle mi czasem płatał ów pan Jan, późniejszy ksiądz Prokop. Jednego razu byłem u niego; miał długie włosy, narzekał, że na wsi nie ma kogo, co by je porządnie ostrzygł. Ja również miałem obfitą czuprynę, proponuję tedy: — Jedźmy do Odessy, tam nas ostrzygą, jak należy i modnie. On mówi: — Dobrze, pojedźmy, ale pamiętaj, panie Piotrze, że specjalnie tylko po to, aby się ostrzydz. A no, zgoda pojedziemy. Ba-gatela! Do Odessy, ładny kawał drogi.

Kolei żelaznych jeszcze nie było, jedziemy tedy ekstra-pocztą, po tamtejszemu, co koń wyskoczy. Kazał zajechać przed sklep pierwszorzędnego fryzjera. Strzęsiony byłem niezmiernie, ale nic to! Myślę sobie: miasto, człowiek się pokrzepi, odpocznie, rozweseli. Jeszcze nas nie ostrzyżono, za-jeżdża przed sklep bryczka pocztowa. — Cóż to? — pytam — dla kogo? — „A dla nas — odpowiada — wracamy.” — Ależ ja głodny jestem, zmęczony, odpocząćbym chciał. — „Ja również — odpowiada — lecz ponieważ umówiliśmy się, że pojedziemy li tylko po to, żeby nas ostrzyżono, a ta czynność właśnie się kończy, więc wracamy.” — Zmiłuj się, człowieku, nie sposób... — „Jak chcesz, dałeś słowo, jeżeli podoba ci się zmienić je, zmieniaj, ja swego nie cofam i wracam natychmiast.” Nic nie pomogły moje perswazyje — uparł się; zaledwie tyle uzyskałem, że pozwolił, aby mi przyniesiono z restauracyi befszyku i butelkę czerwonego wina. Zjadłem naprędce, wypilem i pojechaliśmy z powrotem. Sło-

wo jest słowem, zapewne, ale w tym wypadku — piorunowałem w duchu na słowo. Być w Odessie i nie widzieć Odessy, nie zabawić się, nie odpocząć, nie zjeść i nie wypić, jak należy, no, to mi się jeszcze nigdy nie zdarzyło.

Zamyślił się, do kieszeni sięgnął i wy dobył z niej staroświecki zegarek; przy złotym łańcuszku wisiało kilka medalików mosiężnych.

— Dziwno ci zapewne — rzekł — że ja takie breloki noszę. A no, każdy według siebie. To jedno, co człowiek ma prawdziwie swoje i prawdziwie własne. Wiarę masz, majątek masz; ogień ci tego nie spali, filut nie wylże, złodziej nie ukradnie. We mnie, co prawda, trzęsa się ta wiara, jak kobiałka za wozem, ale mi ją dawny przyjaciel gwoździami do duszy przybił. Ja wierzę po prostu tak, jak on mnie nauczył... i gdyby nie to... świat głupi, ludzie jacyś nie moi teraz, a starość ciężka... Ja, bo widzisz, mam astmę, reumatyzm, katar kiszek, coś niedobrego w wątrobie, popsute nerwy, choć

zresztą zdrów jestem, jak rydz; ale i te drobne dolegliwości czasem się przykrzą. Nic wielkiego, mała kulka i bez zachodu koniec. Ale wiara! Człowiek wiary wie, że to życie się skończy, a zacznie nowe, lepsze... Masz wątpliwości jakie, zrób tak, jak ja—idź do Prokopa. On gromów na cię nie rzuci, nie zadziwi się nawet, że się coś w twoich pojęciach popsulo. Przyjmie cię z uśmiechem, zacznie z tobą rozmawiać i tak jakoś powoli, nieznacznie, rozjaśni ci w oczach, przekona. Gdy cierpisz, on cię pocieszy, gdyś smutny, rozweseli, gdy ci życie obrzydło, pokaże zadanie człowieka w takim świetle, że zdumiejesz... Taki to jest ten zakonnik... Zakonnik — dodał po namyśle—ja także niegdyś chciałem być zakonnikiem, nosiłem habit i śpiewałem w chórze.

Nie znałem tego szczegółu z jego życia.

— Pytasz — rzekł — skąd to przyszło, gdyż nie wyglądam na mnicha... A przyszło jednak. Uczułem nagle wielkie obrzydzenie do świata i do jego uciech; powie-

działem sobie, że wszystko jest marność i wstąpiłem do karmelitów, będąc pewnym, że w zakonnym habicie do końca dni moich chodzić będę... Zdawało mi się, że to łatwa rzecz; ale jak prędko wszedłem do klasztoru, takem prędej jeszcze stamtąd wyszedł, widząc, że nie wytrzymam nowicyatu... On wytrzymał, ba silny był. Wielkie miał zmartwienie, wielki smutek na duszę mu padł, więc zerwał ze światem, zrzekł się wszystkiego i oto, widzisz, na co wyszedł. Ja stary jestem, a w karku twarde, przed byle kim się nie schylę; ale przed nim do ziemi się zegnę i nie jako przed nim, ale przed jego wielką duszą, czystą, jasną, zahartowaną w ogniu cierpień i poświęcenia...

Pochylił głowę na piersi i długo milczał, potem wstał i rzekł na pożegnanie:

— Zanim umrę, muszę go jeszcze raz zobaczyć, bo to mój Anioł-Stróż...

III.

Biografowie świątobliwego zakonnika podają, że bezpośrednią przyczyną, która skłoniła Jana Leszczyńskiego do zerwania ze światem i zamknięcia się w murach klasztornych, był przedwczesny zgon jego przyjaciela od serca, niejakiego Jezierskiego.

Leszczyński uczul tę stratę tak silnie, że wyrzekł się wszystkiego, co mu życie światowe dawało i obiecywało w przyszłości—i z niezłomnem postanowieniem przywdzia-
nia sukni zakonnej, udał się do Włoch.

Tam wybrał zakon o najsurowszej regule, pragnąc w odosobnieniu, w milczeniu,

wśród postów i ciężkich umartwień, nad grobem własną ręką wykopanym, w nieustannem rozmyślaniu o śmierci, czekać tej śmierci, jako wyzwolenia z pęt ziemskich.

Już starania poczynił, aby go do tego zgromadzenia przyjęto, zezwolenie władz włoskich uzyskał, wszelkie formalności załatwił, już miała się zamknąć za nim na zawsze ciężka furta, gdy zaszła szczęśliwa okoliczność, która jego zamiarom, nie zmieniając ich w zasadzie, nadała inny kierunek.

Spotkał pod włoskiem niebem ziomka kapłana, człowieka o sercu zacnem i umyśle jasnym i zwierzył mu się ze swoich intencji. Ten, wysłuchawszy młodzieńca, nie odwodził go od powziętego postanowienia, owszem, umacniał go w niem i słów zachęcy nie szczędził.

— Idź—mówił—za głosem, który cię woła, wyrzecz się świata, służ Bogu — ale nie tutaj jest twoje miejsce. Wracaj tam, skąd przyszedłeś, do swoich. Wstąp do zgromadzenia żebrzących i pokornych, służ

bliźnim! Pocieszaj smutnych, błądzących na dobre drogi prowadź, rozdzielaj chleducha między rzesze, siej ziarno wiary i cnót. Swoją młodość, siłę, wiedzę, jako masz i jaką w przyszłości zdobędziesz, bed daj bliźnim i blizkim, nie zostawiając siebie nic, oprócz obowiązków.

Za tym głosem dobrym, za radą rozumną, poszedł młody człowiek; powrócił do kraju i w klasztorze Lubartowskim przywdział suknie zakonne.

Stało się to 1-go sierpnia 1844 r.

Jan Leszczyński przestał istnieć dla świata, a zgromadzeniu kapucynów przybył brat Prokop.

Odbywał on nowicyat i studyował zarazem nauki, pod kierunkiem świątłych teologów, których nigdy w tym zakonie nie brakło. Pokorą, skromnością, cnotą, wysokimi zdolnościami umysłu, zwracał na siebie uwagę przełożonych, którzy go też wkrótce uznali godnym przyjęcia święceń kapłańskich.



Nie zgadzało się to z wolą młodego zakonnika, który pragnął do końca życia braciszkiem pozostać, ale wobec wyraźnego rozkazu przełożonych nie można się było opierać.

Powiedziano: „Pójdziesz, bracie, do Warszawy, aby cię wyświęcono.” I brat Prokop poszedł, w literalnem znaczeniu tego wyrazu, poszedł pieszo, dwadzieścia kilka mil drogi.

Szedł od wioski do wioski, zatrzymując się dla wypoczynku po plebaniach, po chatach włościańskich, gdzie się dało.

Noc i burza zaskoczyła go w drodze; z daleka dostrzegł światło, przyspieszył kroku i znalazł się przed jakimś dworem wiejskim, w którym mieszkał rządcą. Brat Prokop zmęczony i zmoknięty, prosił o gościnność:

— O miejsce jakiegokolwiek, gdziebym się mógł przespąć...

— Ani myślę—odrzekł szorstko—kto wie, co jegomość jesteś za jeden?

— Widzisz pan, że zakonnik...

— Ja tam nie wiem. Może przebrany emisaryusz, nie chcę! Idź sobie, mój człowiecze i daj mi święty pokój. Dobranoc!

— Bóg zapłać...

— Ale uprzedzam, żeby i u chłopów noclegu nie szukać, bo ja ambarasu potem mieć nie chcę... Na końcu wsi jest karczma, tam żyd wszystkich przyjmuje.

Chłop, przy tej rozmowie obecny, wyszedł za młodym zakonnikiem i dał mu u siebie schronienie, w stodółce: garść słomy i dach nad głową, więcej też podróżny nie pragnął.

W Warszawie arcybiskup - metropolita Fijałkowski wyświęcił brata Prokopa na księdza w roku 1846 i odtąd zaczyna się działalność świątobliwego męża, jako kapłana, kaznodziei, autora.

.

Tu znów do osobistych wspomnień zwrócić się muszę, do Lublina, do domu mego dziadka, u którego ojciec Prokop częstym bywał gościem. Bywali też tam inni za-

konnicy z tego klasztoru, a nieraz i cały konwent. Patrzyłem już wówczas na ojca gwardyana z podziwem i uwielbieniem, a miało ono podwójną przyczynę, raz, że go czczono powszechnie, że mówiono o nim jako o człowieku wielkiego serca i rozumu, a powtóre, że zbudował przy kościele kaplicę, która wydawała mi się ostatnim wyrazem architektonicznego piękna.

Mniemałem, że nic wspanialszego na świecie nie ma. Całemi godzinami stać mogłem w kościele i podziwiać ołtarz i rzeźbioną statuę Matki Zbawiciela, w różnobarwnem oświetleniu, zwłaszcza, gdy jasne promienie słoneczne przez kolorowe szyby okien wpadały do wnętrza. Lubilem patrzeć, a szczególnie, gdy kościół był pusty i nikt mi w tej czynności nie przeszkadzał; wówczas z ciekawością dziecka, ze czcią, a zarazem z pewną nieokreśloną, niedającą się niczem usprawiedliwić obawą, przez kraty drewniane, zamykające kaplicę, zaglądałem do jej wnętrza. Tak tam było uroczyście, cicho a pięknie; na stopniach

ołtarza stały wazony z kwiatami, w które obfitował ogród kapucyński, a napis na ołtarzu głosił, aby się zawsze pod obronę Maryi uciekać.

Powiedziano mi, że tę kaplicę zbudował ojciec gwardyan. Oczywiście, rozumiałem już, że nie zbudował jej własnymi rękami, ale że ją, jeżeli tak wyrazić się można — wymyślił. Jakże nie miałem wielbić człowieka, który potrafił skomponować rzecz tak pociągającą i piękną?

Niekiedy posyłał mnie dziadek do klasztoru z jakim poleceniem, z karteczką; jeżeli kościół był otwarty, wchodziłem przez furte, gdy zamknięty, umiałem się przez korytarze do wnętrza kościoła dostać, aby chociaż na chwilę do wnętrza kaplicy zajrzeć, taki na mój młodociany umysł wywierała urok.

Ojciec gwardyan wydawał mi się wyższym, większym nad innych ludzi, a nade wszystko mędrszym. Nieraz, gdy rozmawiał z dziadkiem moim i z gośćmi, wsuwałem się w kąć, lub za wielki fotel, aby

rozmowy tej słuchać. Nie zawsze mogłem zrozumieć dokładnie, o co idzie, ale samo słuchanie sprawiało mi wielką przyjemność.

Zrobiłem wówczas pewną obserwację. Ojciec gwardyan, który mi się wydawał takim wielkim, rozumnym i poważnym, nieraz śmiał się, żartował i rozmawiał, tak samo jak inni ludzie. Wówczas na jego twarzy pojawiał się uśmiech, a oczy przybierały wyraz łagodny; to naprowadziło mnie na myśl, że ten człowiek musi być także bardzo dobry, w tem znaczeniu, że gdybym coś spsocił, to potrafilby przebaczyć i nie ukarać.

Tak mi się to przekonanie w głowę wbiło, że miałem chęć, dla sprawdzenia, czy się nie mylę, urządzić jakiego figla; powstrzymała mnie jednak obawa dziadka, który był surowy, a przynajmniej takiego udawał.

Dawne to rzeczy — przeszły, minęły. Starsze pokolenie wymarło, młode wzrosło i już starzeje, a obrazy przeszłości rysują się w pamięci jasno, wyraźniej może, niż

wczorajsza chwila i takie się w oddaleniu czasu mile, takie szczególnie sympatyczne wydają...

Czerwony kościół, zabudowania klasztorne, korytarze wąskie, portrety, brodaci ojcowie, chór za ołtarzem, refektarz, ogród taki ładny, gromadka biedaków z garnuszkami u furty...

Są to obrazy niknące, w części już znikłe...

IV.

Dzień był majowy; Wisła w blaskach od słońca. Statek, szybko z prądem płynący, mącił ruchliwe fale rzeki, w powietrzu uwiijały się rybitwy i jaskółki.

Wybrzeża Wisły, jak okiem zasięgnąć, przyodziane były w wiosenną szatę zieloności; na polach uwijali się ludzie, wszędzie znać było życie i ruch. Statek omijał szczęśliwie liczne mielizny, a malownicze widoki zmieniały się przed oczami podróżnych, jak w panoramie.

Minęliśmy Bielany. Jabłonę, Nowy Dwór, łogromne mury twierdzy i po kilku godzinach jazdy, statek zatrzymał się pod Zakroczymiem.

Przeszedłszy przez łąki i przez typowe, wyłącznie prawie przez żydów zamieszkałe miasteczko, zatrzymałem się przed klasztorem kapucyńskim.

Taki tam ubogi kościółek, jak w Lubartowie, także furta i kurytarze i refektarz, tacy sami zakonnicy dobrzy, uprzejmi, gościnni.

Ojciec Prokop chory był wtenczas i nie opuszczał celi, przyjmował jednak tych, co przychodzili go odwiedzać.

Wszedłem.

Siedział na fotelu, w grubym habicie zakonnym, przepasany sznurem; na kolanach trzymał tekturę, na niej papier i tak, siedząc, pisał. Obok na krześle znajdował się kałamarz i kilka książek; na podłodze leżały kartki rękopisu, zapisane dużemi literami, wyraźnie.

Cela, większa nieco od zwykłych cel kapucyńskich, wybielona świeżo, jaśniała czystością, na ścianie wisiał krucyfiks i kilka obrazów religijnej treści, przez otwarte

okno wpadał prąd świeżego wiosennego powietrza.

Świątobliwy starzec wyglądał bardzo mizernie, zdawało się, że dni jego są już policzone, że lada chwila wielka jego dusza nas opuści.

Na wysokiem czole rysowały się zmarszczki, ascetyczna twarz była woskowej bladości, długa biała broda spadała na wątle piersi, tylko oczy, pełne rozumu i łagodności, miały blask młodzieńczy.

Ręka, w której trzymał pióro, była mała, wychudła i jakby przezroczysta.

Przyjął mnie z dobrotliwym uśmiechem i ożywił się, gdym wspomniał o Lublinie, o dawnych czasach, o dziadku.

— Tak, tak—rzekł—anibym cię poznał, tyle czasu... Dziadek twój już dawno nie żyje, modłę się nieraz za spokój jego duszy. Pan Mateusz Brodowski... zacny był człowiek... Muszę ci też opowiedzieć, w jaki sposób się z nim poznałem. Właśnie tylko przybyłem do Lublina, jako gwardyan; byłem jeszcze dość młody, trochę

prędkie, może zaprędkie. Wypadło święto, w kościele odbywało się nabożeństwo uroczyste, a ja z zakrystyi zwracałem uwagę na kościół, czy wszystko jest w porządku. Patrząc, w konfesyonale siedzi jakiś staruszek, człowiek świecki. Nie podobało mi się to. Posyłam zakrystyana mówiąc: „Poproś tego pana, by usiadł gdzieindziej.” Nic to nie pomogło, jegomość miejsca nie opuścił. „No — spytałem zakrystyana — mówiliś?” — „Tak jest.” — „A cóż on na to?” — „Rzekł: Powiedz księdzu gwardyanowi, żem ja już w tym konfesyonale siedmiu gwardyanów przesiedział, a nie tracę nadziei, że i ósmego przesiedzę.” — Zapytałem Ojców, kto to jest? — i powiedziano mi, że to zacny przyjaciel naszego zgromadzenia. Tegoż dnia po południu poszedłem go przeprosić i stosunki nasze były jak najlepsze.

Wspomnienia ożywiły zacnego zakonnika, rozmowa płynęła łatwo i swobodnie.

Na pytanie, jaki jest stan jego zdrowia, odrzekł z przedziwnym spokojem i prostotą

— Zdrowia nie mam, dogorywam i oczekuję śmierci...

W istocie, ciało jego było wówczas bardzo wątłe, jakby złamane, ale umysł, inteligencja, w pełnej sile.

Rozmawialiśmy o wielu kwestjach ogólnych i przekonałem się, że ten schorowany starzec, ten zakonnik zamknięty w czterech ścianach swej celi, wie doskonale, co się na świecie dzieje, że ani jeden objaw życia ogólnoludzkiego obcy mu nie jest, że ma na wszystko pogląd jasny i serce pełne miłości.

Mówił o literaturze, dziennikarstwie, o nowych w tychże kierunkach, cieszyły go objawy dobre, nad ujemnymi bolał, lecz nie tracił nadziei, że one miną i że kiedyś nadejdzie czas powszechnego dobra i prawdy.

Zalecał, aby się u stóp krzyża gromadzić, na krzyż patrzeć, z krzyża czerpać otuchę i siłę.

Był w jego słowach prostych, niewyszukanych, dziwnie łatwo płynących, ton jakiś erdeczny, który za serce chwytął; był

w nich ogień miłości; była siła, nie groźna, lecz taka, która pociąga ku sobie łagodnie. Mówił, jak filozof, jak mędrzec, który pokonał ciało, wykształcił i umocnił ducha w życiu duchowem, w rozmyślaniach, ukrzepił go w krynicy rozumu i wielkiej chrześcijańskiej miłości.

Mówił głosem przyciszonym i osłabionym, bez gestykulacyi, spokojnie; od czasu do czasu popierając zdania wejrzeniem, w którym malowała się dusza. Ogarniał serdecznem uczuciem wszystkie warstwy społeczne, wieśniaków, pracujących na roli, rzemieślników, inteligencyę, całość społecznej rodziny, a o szlachcie tak mówił:

— Któżby chwalić mógł przywileje i kastowość? Jednego Ojca mamy — Boga i wszyscyśmy jego dziećmi. Ta równość, to jeden z najpiękniejszych klejnotów, jakie posiadamy w przebogatej skarbnicy wiary Chrystusowej — ale wszyscy powinniśmy dążyć do szlachectwa. Rozumiesz, że nie o herby idzie, lecz o ducha, o jego uszlachetnienie najwyższe. Mniemam, że

w tym wyrazie „szlachectwo,” o ile on się do duszy stosuje, mieści się pojęcie czterech głównych cnót chrześcijańskich. Kto takie szlachectwo posiada, ten jest roztropnym, wstrzemięźliwym, sprawiedliwym i mężnym. Do tego dążyć wszelkimi siłami należy. Uszlachetniać ducha, kształcić go, silnym czynić i najważniejsza — kochać jedni drugich, a nie tracić ufności w miłosierdzie Boże.

Zauważyłem na twarzy ojca Prokopa zmęczenie, więc pożegnałem go. Krzyż nad moją głową uczynił i szepnął:

— Nie zapominajcież...

Któżby Cię zapomniał, wielka duszo!...

.

Widziałem go wówczas po raz ostatni, a było to przed sześcioma laty.

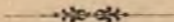
Opuściwszy celę autora „Żywotów Świętych,” zwiedziłem kościół, refektarz i przelśliczny ogród klasztorny.

Zacni Ojcowie: Benvenuto, Wilhelm, Honorat, Feliks, Bernard, Łukasz, naprze-

mian, o ile im zajęcia pozwalały, towarzyszyli mi ciągle.

Przyozdabiano ołtarz na uroczystość. św. Feliksa i znoszono do kościoła mnóstwo kwiatów; przypominały mi się lata dziecinne i chłopięce, kiedy i ja nieraz takiej czynności pomagał i z wielką powagą a ostrożnością przynosił kwitnące rośliny.

Widziałem kurytarze, ozdobione starymi portretami i chór i ogromną księgę za ołtarzem i zakonników pocziwych i zdawało mi się, że z księgi własnego życia czytam jedną, dawno już zapisaną kartę. Odświeżyły się w pamięci wszystkie wrażenia z owych czasów, z tą tylko różnicą, że już się dobrych Ojców... nie bałem, jak niegdyś...





<http://rcin.org.pl>

-60



F

14.417